Opłatę pocztową uiszczono ryczałtem

WYCHODZI RAZ NA MIESIĄC

ROK VI WARSZAWA, LISTOPAD 1931 R. Nr 11

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: Ks. St. SKIERSKI
ADRES REDAKCJI:
WARSZAWA, UL. LESZNO Nr 20 m. 4. Tel. 338-32.

WYDAWCA:
KOLEGJUM KOŚCIELNE WARSZAWSKIEJ
PARAFJI EWANGELICKO-REFORMOWANEJ
ADRES ADMINISTRACJI — LESZNO 20. Tel 646-32.

WARUNKI PRENUMERATY: Rocznie zł 12; półrocznie zł 6; kwartalnie zł 3. Pojedyńczy numer zł 1.50.

CENY OGŁOSZEŃ: Okładki strony 4-ej 150 zł; strony 2-ej 100 zł; strony 3-ej 75 zł.

Konto czekowe Pocztowej Kasy Oszczędności Nr 12.423.

TREŚĆ NUMERU:

1. X *L. Z.* — Wymowne milczenie (wstępny) . . . 169
2. *Ks. Prof. K. Serini.* — Przełom życia duchowego (d. c.) . 171
3. *P. Hulka-Laskowski.* — Upadek dyscypliny protestanckiej. . 172
4. *Fr. Rosica.* — Omijanie trudności 176
5. *Romuald Balawelder.* Duch Północy . . . 179
6. —*S*— Wiadomości z Kościoła i o Kościele 183
7. Porządek nabożeństw. Ofiary. Ogłoszenie 184

ROK VI WARSZAWA, LISTOPAD 1931 R. Nr 11

Redaktor odpowiedzialny: **Ks. St. Skierski.** Adres Redakcji: WARSZAWA, UL. LESZNO Nr 20 m. 4

Wydawca: KOLEGJUM KOŚCIELNE WARSZAWSKIEJ PARAFJI EWANGELICKO-REFORMOWANEJ
Adres Administracji: LESZNO 20.

WYMOWNE MILCZENIE.

Ew. Mat. 22_{11-13}: „A wszedłszy król, aby się przypatrzeć gościom, obaczył tam człowieka nieodzianego w szatę weselną; i rzekł mu: przyjacielu, jakeś tu u szedł nie mając szaty weselnej? A on zaniemiał. Tedy rzekł król sługom; związawszy ręce i nogi jego, weźmijcie go i wrzućcie do ciemności zewnętrznych, tam będzie płacz i zgrzytanie zębów".

Przypowieść Zbawiciela o zaproszonych wprost z ulicy gościach wielkiego króla i o tym z pośród nich, który zasiadł do stołu królewskiego nie przywdziawszy uprzednio ofiarowanej gościom szaty weselnej, jest, jak wszystkie przypowieści Jezusowe, obrazową ilustracją stanu ludzkiej duszy, i tak rozpatrywana i rozumiana, daje nam możność wysnucia bardzo ciekawych wniosków, które człowiekowi niejedno w życiu jego mogą wyjaśnić i wskazać jasną, wyraźną drogę jego postępowania. Zaprosił wielki król — mówi Chrystus Pan — do bogato i obficie zastawionego stołu swego wszystkich, ktokolwiekby pragnął przy nim zasiąść. Zaprosił wszystkich, bez jakiejkolwiek bądź różnicy stanowiska, posiadania, wykształcenia lub innych względów jakieby według sądów ludzkich grać mogły rolę w wyborze gości. Zaprosił ich oczywiście nie dlatego, że jemu na tych zaproszonych zależało, lecz dlatego, że chciał zaproszonym sprawić przyjemność i radość, wyrywając ich ze zgiełku i pyłu opłotków, i ulic. Zaproszenie to było przeto z jego strony wielkim zaszczytem i wielkiem dobrodziejstwem dla zaproszonych i przyjmując je rozumieli oni dobrze jedynie swoją własną korzyść, dostępowali wielkiego szczęścia, które w ich życiowych warunkach jedynie nieosiągalnem marzeniem zdać się mogło. Dał też król on gościom swym odpowiednię szatę godową, wiedząc, że da ona możność pozwanym zastosowania się do nastroju i atmosfery stołu biesiadnego, że będzie koniecznem uzupełnieniem piękna i radości, której wyrazem ten stół miał być.

To też gdy król wszedł na salę, aby wejść między gości swych, zdziwił się wielce, widząc przy stole człowieka, nieodzianego weselną szatą i pełen zdziwienia zwraca doń pytanie naturalne

i oczywiste: „Przyjacielu, jakeś siadł do stołu, nie mając weselnej szaty?", W pytaniu tem obok zdziwienia brzmi wyraźny ale delikatny wyrzut zlekceważonej woli królewskiej, ale jednocześnie i chęć usłyszenia jakiegoś usprawiedliwienia, nadzieja, że człowiek ten może i będzie wstanie powiedzieć coś na swe usprawiedliwienie. Ale cóż mógł on na obronę niedbalstwa swego powiedzieć i czem się usprawiedliwiać? Czyż to niedbalstwo nie zakrawało raczej na zlekceważenie sobie woli królewskiej, nie było świadomem odepchnięciem tych dobrodziejstw, jakie hojna ręka wielkiego króla i przed nim roztoczyła bez żadnej z jego strony zasługi? To też zmilczał, bo każde słowo jego byłoby jedynie tem cięższem przeciwko niemu oskarżeniem; milczał — bo w poczuciu własnej winy, własnego grzechu to jedno tylko, a więc nic zupełnie, na obronę swą mógł przytoczyć. I oto stojąc u brzegu radości i wesela przeżyć musi straszny i dotkliwy upadek, mogąc skosztować szczęścia, musi poznać całą okropną moc miejsca, gdzie są ciemności, gdzie jest płacz i zgrzytanie zębów.

Powołał ongiś wielki król wszechświata, Pan nieba i ziemi, człowieka, sługę swego, do stołu radości i szczęścia. Ale ponieważ człowiek ten żyjąc i biegając po opłotkach, ulicach i rynkach zbrukał serce swe, tak jak i swe ręce, przeto posłał on Pan Syna Swego, aby spraszając każdego na wesele, dał mu szatę jasną i czystą, godną Stołu Pańskiego. Lecz niedocenił człowiek tej dobroci Pańskiej, nie chciał pojąć tej prostej i tak naturalnej rzeczy, że tylko czystym będąc można do czystego podejść bez obawy zbrukania, i wyobraził sobie, że ma prawo pójść do swego Pana w całej ohydzie brudu swego. I gdy mu się zdało, że oto wystarcza wyciągnąć rękę tylko, aby dostać cenne dary Pańskiego Stołu, posłyszał wyrok surowy ale sprawiedliwy „Wrzućcie go do ciemności zewnętrznych, tam będzie płacz i zgrzytanie zębów".

Płacz i zgrzytanie zębów i ciemność w nas i wokół nas — oto chleb powszedni naszych dni i treść naszego życia. Płacz i zgrzytanie zębów miljonów, które bez pracy i możności zapewnienia sobie i swoim pewnego kawałka chleba, albo płaczą w rozpaczy bezsilnej, albo zgrzytają zębami w równie bezsilnej nienawiści. A wokół nas i w nas samych ciemności ogólnego chaosu, który uczy nas nikomu i niczemu nie ufać, na nikogo i na nic nie liczyć, lecz być raczej wilkiem, co, przy krwawym trwając ochłapie, warczy na innych, gotów raczej kąsać, niż cośkolwiek zeń oddać innemu.

Stan to godny pożałowania a wstrętny, gdy się nań uważniej popatrzy, a kładący się okropnem brzemieniem krwawego znoju na barki człowiecze, wywołujący gorące pragnienie zmiany jakiejś ku poprawie, ku odmianie.

Lecz jednocześnie milczenie zamyka nam usta, gdy dotkniemy pytania o przyczynach tego stanu, bo czemże się usprawiedliwić możemy? Zbieramy wszak przegorzkie, ale przez nas samych wyhodowane pieczołowicie owoce naszego grzechu, naszej pychy, naszego egoizmu i naszej mądrości. Na tych wszak pierwiastkach oparliśmy życie jednostki i społeczeństw, one są tym faktycznym regulatorem i sprawdzianem naszych pragnień i naszych pożądań, z nich się składa wszystko to, co jako dumę naszą i moc naszą obnosić i czem się chlubić zwykliśmy, co nam spokój, radość i szczęście przynieść i zagwarantować miało. Pochopnie zlekceważyliśmy szatę czystości wewnętrznej, mniemając, że ona nam jest zbyteczną, że nie stanowi warunku koniecznego w pochodzie do radości i szczęścia. I gdyby dzisiaj wszedł między nas Zbawiciel nasz, gdyby posłuchał naszego płaczu, naszych narzekań i zgrzytań — to pewno przedewszystkiem zapytałby się nas: „jakiem prawem, przyjacielu? — czyż nie uczyłem cię od wieków, jak możesz i jak powinieneś czynić, aby szczęście twem się stało udziałem?" — A wobec takiego — mamy i możemy mieć w odpowiedzi — milczenie.

Ale to milczenie ma swoją wymowę i może głośniej niż głośne słowo woła za nas, że tego szczęścia potrzebujemy i pragniemy, że nawet wtedy, gdy brud grzechu nas odeń jak przepaść głęboka dzieli, to pragnienie jest i zniknąć nie może. Niechajże przeto to milczenie grzechu będzie dla każdego z nas drogocenną wskazówką, która nam wskaże jedyną drogę ku szczęściu — drogę czystości ducha i serca, jako szaty promienistej, którą nam podaje zawsze i jedynie Zbawiciel nasz — Chrystus Pan.

X. L. Z.

Ks. Prof. K. Serini.

PRZEŁOM ŻYCIA DUCHOWEGO A TEOLOGJA PRZEŁOMU*).

(Ciąg dalszy. Patrz „Jednota" Nr 3 z r. 1931).

Pokolenie starsze, szczególnie uczestnicy wielkiej wojny, nie mogło pozostać głuche na głosy niedoli, wydobywające się z piersi ofiar zabójczych walk, tem mniej na groźby ponowienia zapasów orężnych przy pierwszej nadarzającej się sposobności; nie mogło zamknąć uszu na wołanie młodzieży o istotną treść i prawdziwy sens życia. Stawia więc sobie słowami Lieberta pytanie — „kto jest właściwym przeciwnikiem absolutystyczno - metafizycznego kierunku ducha? Nikt inny, jeno czysty pozytywizm, który również nieodmiennie do relatywizmu prowadzi, jak i sam z historyzmu żywotne soki swe ciągnie". Przeciwko tym wrogom potężnym jest skierowany atak. Należy przedewszystkiem przekroczyć granice własnej świadomości, zrywając już nie tylko z psychologizmem, lecz i z subjektywizmem t. zw. czystej świadomości, i zdobyć się na gnozeologiczny transcendentyzm. Zmarli: Külpe i Frischeisen - Köhler, z żyjących August Messer i Edith Landmann w Niemczech, Russel w Anglji przechylają się na stronę realizmu. Trancsendentyzm nie oznacza jednak tylko wyjścia poza granice świadomości, lecz i poza obręb możliwego doświadczenia, a więc poszukiwanie tej przez pozytywistów pogardzanej metafizycznej rzeczywistości. Od wielu lat głosi Bergson we Francji metafizykę życia, Joel w Szwajcarji metafizykę twórczej jedności organicznej, Driesch w Niemczech metafizykę celowości bytu i stawania się, rosjanie Frank i Łosskij metafizykę ducha, Scheler i Nicolai Hartman metafizykę absolutnych wartości, w Polsce kroczy tą drogą Rabczyński — wszędzie odnajdujemy tendencję do przezwyciężenia relatywizmu w oparciu o metafizykę.

Rozszczepia się ona obecnie na dwa odmienne kierunki: metafizykę nauki i metafizykę życia, obie stoją na punkcie widzenia uniwersalizmu, przezwyciężając atomizację lub rozczłonkowanie jedności. Całość życia traci charakter mechanicznego zcalania odrobin w pewną sztuczną całość, zależną od części składowych. Pojęcie organicznej całości na miejsce mechanicznego powiązania odnosi zwycięstwo w biologji, psychologji, socjologji. Botanik Reinke wprowadza pojęcie dominant, Spranger buduje psychologję struktury, Wertheimer rewolucjonizuje dotychczasowe zapatrywania przez swą teorję postaci — Gestalttheorie. Otmar Span zrywa z dotychczasowym mechanizmem socjologicznym i wprowadza zasadę organicznej całości do socjologji.

Naturalnie nie może wobec tych tendencyj utrzymać się dotychczasowy racjonalizm; zmusza go rzeczywistość do przyznawania irracjonalizmowi racji bytu w całości poznania. Bergson, Łosskij, Müller - Freienfels są jego zwolennikami, przezwyciężając w ten sposób racjonalistyczny formalizm na rzecz treściwości naszego poznania; za dowód niechaj służą szkoła Freuda i psychologja indywidualna Adlera. Słusznie pisze Liebert: „Jeder Rationalismus führt, und umsomehr je schärfer und ausschliesslicher er zur Anwendung gebracht wird zu einer Mechanisierung der Welt und der Lebensgehalte".

Na wszystkich frontach przeciwko wszystkim tendencjom ubiegłego wieku powstają nietylko krytycy, lecz przeciwnicy o twórczych założeniach i celach; toczona obecnie walka, w której wir wciągnięte zostały wszystkie dziedziny życia, ma w sobie posmak eschatologiczny, budzi lęk, ponieważ może wybuchnąć płomieniem niszczycielskim, w którym spłonie cały dorobek kulturalny Europy. Stąd świadomość przeżywanego obecnie ciężkiego kryzysu, stąd obawa przed jego wynikiem, lecz stąd i odpowiedzialność ciążąca na każdym budowniczym życia — przedewszystkiem na duchownych.

9. PRÓBY PRZEBUDOWY ŻYCIA RELIGIJNEGO.

Cechą znamienną obecnego zwrotu od relatywizmu do absolutyzmu jest nieuchwytne narazie, lecz stopniowo coraz wyraźniejsze uwzględnianie pierwiastka religijnego, oprócz w bolszewiźmie. Ruch młodzieży naprzykład był w swych początkach religijnie obojętny, względem kościołów zajmował stanowisko nawet wrogie. Z biegiem czasu zapatrywania na religję i kościół uległy zmianie, obecnie zaś daje się stwierdzić nawet stosunek życzliwej współpracy. Taka zmiana zasadnicza jest konieczna, o ile cały ruch nie ma być spaczony lub conajmniej pozostać bezowocnym. Zwrot ku religji leży u podstaw obecnego przełomu, dlatego Liebert pisze: „przełom obecny polega na przeciwstawieniu się sił absolutnych wszelkiej jednostronności i wszelkiemu ich ujarzmianiu, uznaniu niewoli ducha, odcięciu

*) Dzięki uprzejmości rodziny zmarłego Ks. prof. Seriniego jesteśmy w możności podać czytelnikom „Jednoty" zakończenie cennej pracy nieodżałowanego przyjaciela pisma naszego.

od transcendentyzmu; na przeciwstawieniu się twierdzeniu, że życie w swej istocie ma charakter biologiczny i historyczny. W przeciwieństwie do tego pragnie ono odzyskać swój charakter absolutny", a gdzież może absolutyzm występować w formie czystszej niż w religji? Dlatego przełom u podstaw dotychczasowego życia duchowego powinien przedewszystkiem wystąpić w dziedzinie religijnej. Jego objawy można zaobserwować już od dłuższego czasu; obok bowiem religji i teologji, które zawarły kompromis z duchem czasu, istniały życie religijne i teologja, opierające się na biblijnem chrześcijaństwie, niemniej pozycja ich była połowiczna, gdyż duch XIX stulecia wcisnął się do tych okopów Św. Trójcy i mimowoli odbierał hołdy.

W opozycji do istniejących form życia religijno-kościelnego powstają kierunki, będące w bardzo luźnej styczności z religją Chrystusową. Do nich zaliczam teozofję, szczególnie zaś antropozofję. Wyrosły one z pragnienia posiąść prawdę zbawiającą, która wyjałowionej przez racjonalizm duszy nadałaby treść, a zmechanizowanemu życiu sens. Sięgają do wiedzy Indyj, szczycą się posiadaniem środków poznania, dostępnych tylko dla jednostek wybranych, bo przerastających o całe niebo zwykłe poznanie naukowe. Odrębna filozofja, kult, organizacja religijna, układ życia wszystko świadczy wymownie o zerwaniu z przeszłością.

Do znamion okresu przełomowego należy powstawanie i wzrost licznych sekt. Wprawdzie nie brak ich w żadnej zorganizowanej kościelnie religji a w chrześcijaństwie istniały one zawsze w pokaźnej liczbie, lecz dziwnym jest fakt, że obecnie rozwijają się one wśród tych warstw, które pozornie zerwały ze wszelką religją, zastępując ją ideologją ruchu społecznego. Co ciągnie robotnika socjalistę lub komunistę do zgromadzenia i do łączności sekciarskiej? Tam on znajduje rzeczywistość bliskiego stosunku ludzkiego, karm dla swej zubożałej duszy i ostoję w zmienności i płynności swego życia. Takaż rzeczywistość, przemawiająca pozatem symbolami, znajduje swój wyraz w loży wolnomularskiej, łączącej ludzi obrzędami, dla których w innych warunkach posiadaliby tylko gest lekceważenia lub uśmiech politowania.

Na tle życia religijnego wystąpił ruch mocny, rozlewny, o zdecydowanej pod nie jednym względem postawie. Mam na myśli t. zw. ruch społecznościowy. Znane nam są jego 50-letnie dzieje, jego podstawy i stosunek do kościołów i aż nadto dobrze odczuwamy, jakie się w nim kryją niebezpieczeństwa. Gdy jednak postaramy się bezstronnie ocenić jego znaczenie i wartość, będziemy zmuszeni stwierdzić, że jest on konieczną i zbawienną reakcją przeciwko racjonalizmowi, formalizmowi, zaściankowości i bezduszności życia kościelnego, wszystko jedno w jakiej postaci ono występuje: ortodoksyjnej czy modernistycznej. Społeczniowcy chcą chrześcijaństwa silnego, wyraźnego, zdecydowanego, całkowitego, ogarniającego całe jestestwo człowieka, a nie tylko pewne zakamarki jego duszy.

Do znamion czasu należy też nowoczesny ruch liturgiczny, pragnący chaotyczne niejednokrotnie życie religijne związać trwałem ujęciem symbolicznem.

Na przeciwnym biegunie znajdujemy inny ruch religijny, który wprawdzie nie porwał mas, lecz znajduje zato licznych zwolenników na szczytach obecnego życia duchowego — jest to mistyka. Jest ona obecnie wyrazem tęsknoty za wyjściem z odosobnienia i dążeniem do oparcia się o coś absolutnego, przyczem upragniony absolut znajduje w duszy człowieka, będącej cząstką wszechobejmującej jedności. Nie wykracza więc ona istotnie poza człowieka, poza ludzkość, odpowiada więc pod tym względem panteistycznym upodobaniom ubiegłego stulecia. Gdy zaś będzie występowała w szacie idealizmu spotka się z przychylnem przyjęciem ze strony nowokantyzmu. Stąd datuje rozkwit mistyki w jej postaci naturalistycznej lub idealistycznej. W każdym jednak razie jest ona wyraźnem zerwaniem z atomizmem i mechanizmem, panującemi w wieku XIX.

We wszystkich wymienionych kierunkach i prądach życia religijnego występuje na jaw stanowisko opozycyjne z pewną łagodnością a nawet kompromisowością, natomiast w jednej dziedzinie wyczuć się daje zwrot zdecydowany, radykalny, nie liczący się z żadnemi względami. Dziedziną tą jest obecnie teologja ewangelicka.

HULKA-LASKOWSKI.

UPADEK DYSCYPLINY PROTESTANCKIEJ.

Bierzemy ten nagłówek w cudzysłów jako słowo obce i niepoważne. Jest to nagłówek p. Romana Dmowskiego, autora rozprawy „Niemcy a Polska", drukowanej w grudniu roku zeszłego w „Gazecie Warszawskiej". Obecnie artykuły te pojawiają się jako część książki p. Dmowskiego „Świat powojenny a Polska". Że autor tej książki nigdy nie był Cavourem, Disraelim czy Kossuthem, to nie jego wina, ale że jako niepoprawny eklektyk popisuje się bezustannie brakiem własnego zdania i jakiegokolwiek krytycyzmu, to już obciąża jego własną odpowiedzial-

ność. Zależnie od konjunktury bywał on liberałem, demokratą, antyklerykałem, konserwatystą, klerykałem, czy nawet bigotem politycznym i dlatego w dziełach jego możemy się spotkać z twierdzeniami dość sprzecznemi. Obecnie właśnie uprawia klerykalizm i dlatego w rozprawie „Niemcy a Polska" sporo uwagi poświęca „upadkowi dyscypliny protestanckiej". Mówi o Niemcach jako o narodzie upadającym, a za przyczynę ich upadku uważa właśnie upadek protestantyzmu.

Dla nas protestantów polskich nie może być obojętną sprawa, czy protestantyzm się rozwija, czy upada, i dlatego z tem żywszem zainteresowaniem odczytujemy artykuł przywódcy partji, która w zmiennych kolejach dziejów tak zręcznie przystosowywała się do warunków i okoliczności. Wywody pana Dmowskiego są nienowe i nieciekawe. Wypowiadał je na zjazdach gwoli kaptowania sobie benewolencji poznańskiej, wypisywał je we wskazaniach dla Obwiepolu, powtarza je stale w swoich artykułach gazeciarskich. Zwracaliśmy już uwagę na źródło jego natchnienia. Antysemita francuski Batault, pedagog niemiecki Foerster, czasem Wojciech Dzieduszycki albo Stanisław Szczepanowski, oto mniej więcej wszystko, czem się ten polityk jeszcze inspiruje, gdy chodzi o rozprawienie się ze zjawiskiem tak wielkiem i skomplikowanem, jak protestantyzm.

Pisarzy polskich obozu zachowawczego demoralizuje czytelnictwo, które z głęboką pokorą i milkliwie przyjmuje wszystko, co mu konjunktura polityczna do wierzenia podaje. Przygodnie chwalimy się Komisją Edukacyjną jako pierwszem w Europie ministerstwem oświecenia publicznego. Gdy stańczycy galicyjscy jeszcze pod koniec lat dziewięćdziesiątych zeszłego wieku usiłowali utrzymać chłopa w ciemnocie, jaka odpowiadała ich interesom stanowym i majątkowym, sławetni Popiele wywodzili: „Przymusowej szkoły z prawa naturalnego wywieść się nie da... Dzieje się gwałt prawom rodzicielskim. Społeczeństwo polskie zbyt ubogie, ażeby się obyć w tak długie lata bez pomocy dzieci swoich". A furjat ciemnoty i zacofaństwa, Paweł Popiel, krzyczał: „Przymus szkolny to potworność. Ustawa, która ustawowo zmusza człowieka do kształcenia się, prowadzi do socjalizmu. Szkoła powinna być wyznaniowa i ograniczona w nauce. Nauki przyrodnicze i literatura podkopują spokój ludzkości, wydzierają łaskę Boga i żywot wieczny. Nauczyciel duchowny lepszy będzie, niż świecki. W seminarjach nauczycielskich powinni kandydatów mniej uczyć. Kandydat z miernem uzdolnieniem będzie najlepszym nauczycielem". Gdy zaborcy zaprowadzili przymus szkolny, panowie obszarnicy na wszelki sposób odwodzili lud polski od szkoły, aby nie tracić w młodzieży chłopskiej taniej siły roboczej. Zmieniły się warunki więc się chwali oświatę. Interes stanowy i partyjny przedewszystkiem. Ten interes partyjny jeszcze dzisiaj jest miarą wszech rzeczy.

„Protestancka dyscyplina moralna wzięła człowieka w ściślejsze i surowsze karby, niż dyscyplina katolicka, nauczyła go o wiele lepiej panować nad sobą i swemi słabościami, a tem samem konsekwentniej zmierzać do celu, który sobie postanowił... Podniosła do godności najwyższych cnót energję, pracowitość, zabiegliwość, wytworzyła pogardę dla niedołęstwa, niedbalstwa, niezaradności i pochodzącej z nich nędzy". A dalej: „Główny obowiązek religijny, ciągłe czytanie Biblji, przy wielkiej swobodzie jej komentowania i przy dawaniu pierwszeństwa Staremu Testamentowi, który w sektach zwłaszcza purytańskich całkiem zaćmił Ewangelję, sprawia, że Bóg chrześcijański w pojęciach mas przekształcił się na Jehowę, na boga plemiennego, popierającego swój lud przeciw obcym. W każdym narodzie protestanckim wytwarzało się tym sposobem pojęcie o sobie, jako o ludzie wybranym, gdy jednocześnie władcy, zerwawszy węzły z Rzymem, mieli rozwiązane ręce do niekrępującej się żadnemi względami walki z innymi".

To słowa p. Romana Dmowskiego zaczerpnięte ze wspomnianej książki. Zanim zacytujemy zdania dalsze, zastanówmy się nad temi myślami polityka narodowo-demokratycznego. Że protestantyzm wytworzył dyscyplinę moralną, że religję oparł na moralności surowej, to znane rzeczy i z tem się zgodzimy, ale co do tego pocieszn ego dawania pierwszeństwa Staremu Testamentowi przed Nowym, to doprawdy nie powinien p. Dmowski powtarzać tak bezmyślnie tych głupstw, które wyczytał w broszurze antysemity Bataulata, dawno już zapomnianego. Sekty protestanckie podobnie jak kościół rzymski i kościoły ewangelickie, uważają Stary Testament za takie samo Słowo Boże, jak Nowy Testament, ale w praktyce w całem chrześcijaństwie ewangelickiem Nowy Testament zajmuje miejsce naczelne, o czem zresztą wszyscy wiedzą. Naprzykład purytańsko-angielskie Towarzystwo Biblijne wydaje daleko więcej egzemplarzy Nowego Testamentu i jego części, niż całych Biblij, a Starego Testamentu wogóle nie drukuje się osobno. Już to samo ma swoją wymowę. Że w narodach protestanckich miały się wytwarzać pojęcia wybraństwa, o tem nam nic nie wiadomo, ale że w społeczeństwach katolickich zakwitał mistyczny mesjanizm, jak naprzykład u nas, to wiedzą wszyscy. Polska w tej ideologji była narodem wybranym, Chrystusem narodów, umęczonym za świat i mającym zmartwychwstać. Czy to się działo pod wpływem czytania Biblji, a specjalnie Starego Testamentu? Bynajmniej, bo w Palsce prócz protestantów nikt Biblji nie czytywał i nie czytuje. Już to samo powinno było dać p. Dmowskiemu do myślenia, że romantyzmy i wybraństwa rodzą się i bez Biblji.

Zgadza się p. Dmowski, że to pracowitość protestancka stworzyła technikę współczesną i dała podwaliny współczesnej cywilizacji urbanistycznej i kulturze naukowej, ale zaraz dodaje: „Protestantyzm wszakże już w chwili swoich narodzin był za mało religją i, jako religja był przedewszystkiem negacją, negacją Rzymu. W samych jego założeniach istniały już zarodki bezreligijności. Typ życia, który wytwarzał, również oddalał ducha ludzkiego od rzeczy wiecznych, czynił człowieka coraz mniej zdolnym do myśli i uczuć religijnych". Tu dodaje p. Dmowski niedorzeczną uwagę o masonerji, tym straszaku klerykalnym, który nigdy nie zawodzi, i tak dalej powiada: „Im większą tedy karjerę robiły narody protestanckie, tem mniej religijnemi stawały się protestanckie religje. Upadek w tym względzie poszedł bardzo szybko, zaczynając od drugiej połowy XIX stulecia, po wojnie zaś światowej przybrał już rozmiary katastrofy. Przedewszystkiem wyraził się on w zaniku nauki religijnej na fakultetach teologicznych i w upadku wiary wśród samych duchownych. Ilość pastorów-ateuszów we wszystkich wyznaniach protestanckich jest dziś wprost olbrzymia. Podobno w Witenberdze, tam, gdzie Luter w roku 1517 na kościele swych 95 tez przybił, niema dziś ani jednego pastora, któryby wierzył w Boga. Mówiąc nawiasem, każdy się chyba zgodzi, że duchowny nie wierzący w Boga, to większa jeszcze potworność, niż sędzia, drwiący sobie z prawa i pomagający do jego gwałcenia lub policjant, poświęcający się zakłócaniu porządku publicznego i współdziałający z bandytami..."

Wszyscy historycy zgadzają się, że Reformacja odrodziła religję chrześcijańską i moralność, która była w zupełnym rozkładzie. Nawet nasi pisarze, jak Chłędowski, dostarczają aż nadto dowodów, że w Rzymie panowało zepsucie wprost bezprzykładne, że po całym świecie możni tego świata wyzyskiwail ubogich i że w atmosferze prawowierności i dogmatyzmu wojny były zjawiskiem stałem. Nawet Nietzsche, nieprzejednany wróg chrześcijaństwa nie może darować Lutrowi, że powstrzymał rozkład chrześcijaństwa i jego całkowite spoganienie. Nietylko zresztą Reformacja jako przewrót religijny niosła myśli o nowej rzetelności i moralności. Humanizm sięgał do źródeł, wykrywał fałszerstwa papieskie i demaskował je, rodziły się nowe wielkie koncepcje świata, które dzisiaj panują powszechnie, a które były zaciekle zwalczane przez papiestwo, że wspomnimy tu jedynie o Koperniku i Galileuszu. Teologowie katoliccy, jak np. Pohle, protestantyzmowi przypisują zasługę, że zbudził kościół rzymski z drzemki marazmu, że zmusił go do przeprowadzenia reform, które były odkładane ze stulecia na stulecie, chociaż ich potrzebę wszyscy uznawali. Religja protestancka nie była magją, ale twórczą myślą, nie tkwiła w skostniałej formie, ale w żywym kształcie biologicznym. Toteż gdy p. Dmowski mówi o upadku religji protestanckiej, nie możemy z nim dyskutować, dopóki nie wyrazi się ściślej, jak sobie ten rzekomy upadek wyobraża. Bo to, co mówi o nauce na fakultetach teologji protestanckiej, jest fragmentem bez to możemy odpowiedzieć, iż jego „podobno" nie tenberdze niema ani jednego wierzącego pastora, to możemy odpowiedzieć, iż jego „podobno" nie ma nic wspólnego z publicystyką poważną, ale jest pobożnem życzeniem, posługującem się chętnie plotkami.

Gdyby p. Dmowski zaczął mówić o upadku katolicyzmu rzymskiego, to miałby zadanie znacznie ułatwione. Przedewszystkiem musiałby stwierdzić fakt znany, że w żadnem ze społeczeństw katolickich ani kościół jako organizacja, ani kościół jako doktryna nie potrafił stać się ostoją ładu i porządku moralnego, jaką kościoły protestanckie stały się w krajach ewangelickich. Duchowieństwo średniowieczne żyło niemoralnie i dawało najgorszy przykład rozpusty, pijaństwa, chciwości. Nie gdzieindziej, jeno u nas jeszcze w XVI wieku magistrat miasta Przemyśla zakazywał obywatelom obcować z duchowieństwem dla wielkiej rozpusty tego duchowieństwa. W pamiętnikach Paska nie brak obrazów, które o religijności kleru, i wysokiego i niższego, nie świadczą dobrze. Czasy saskie i oświecenia z duchowieństwem do cna zepsutem, to rzeczy znane uczniom klasy piątej. Zresztą nietylko u nas tak było. Duchowieństwo francuskie jeszcze w wieku osiemnastym tak jawnie przyznawało się do ateizmu i takie wiodło życie niemoralne, że ono właśnie bywa uważane za jedną z przyczyn krwawej rewolucji. Gdy Ludwik XV miał mianować arcybiskupa paryskiego żądał, aby przynajmniej ten arcybiskup paryski wierzył w Boga. Ta tradycja niewiary śród duchowieństwa rzymskiego nie urywa się od czasów Innocentych i Borgiów.

Gdy p. Dmowski powiada, że p o d o b n o w Witenberdze niema ani jednego wierzącego pastora i gdy na to „podobno" dodaje zaraz westchnienie, że to taka potworność, to my ze swej strony do wyżej przytoczonych pewnych informacyj o czasach dawniejszych, możemy dodać wiadomości zgoła pewne o niewierzących duchownych rzymskich. To już nie żadne „podobno", ale pewnik tak murowany, jak najlepszy fakt historyczny. Oto niedawno został wyklęty ksiądz rzymsko-katolicki Joseph Turmel, który w ciągu czterdziestu lat odprawiał mszę, spowiadał, udzielał komunji i t. d., a jednocześnie niezliczonemi pismami, wydawanemi pod różnemi pseudonimami zwalczał nietylko kościół rzymski, ale wiarę w Boga, którego nazywał w swoich pismach „un monstre". Przy tej sposobności powychodziły na jaw różne inne rzeczy. Przed trzema laty były ksiądz rzymski, Albert Houtin, człowiek olbrzymiej wiedzy i szlachetnego charakteru wydał obszerne pamiętniki, a w nich z imienia i nazwiska wymienia licznych

księży, którzy w nic nie wierzyli, ale dla chleba trzymali się ołtarza. Ks. Turmel w jednej ze swoich książek przytacza artykuł wybitnego prałata rzymskiego Monsignora Duchesne, wydrukowany w „Revue de Paris" (15/X. 1894) a opowiadający o tem, jak to późniejszy kardynał Capalti podrwiwał sobie wobec młodego de Rossiego z cudów sławionych przez brewjarz rzymski. To nie „podobno", ale z pewnością.

Powiada p. Dmowski: „Stwierdzić trzeba, że kościół rzymski, ze swą nieubłaganą dyscypliną w rzeczach wiary, a natomiast z pobłażliwością dla mniejszych ułomności ludzkich, przy próbie czasu okazał się bez porównania pewniejszym wychowawcą moralnym ludów". Jak się ma pecha, to akurat nie w porę wybuchnie rewolucja w Hiszpanji i ludzie wychowywani piętnaście wieków tą nieubłaganą dyscypliną w rzeczach wiary, rzucą się na kościoły i zaczną je palić, a przedmioty kultu katolickiego bezcześcić i niszczyć. Taka to i wartość wychowawcza ku moralności. U nas Szujski pisze w swych Dziejach Polski, że wiek trzynasty jest wiekiem ohydnych zbrodni, ale ze wzruszeniem dodaje, że wtedy nie było niedowiarstwa, czyli że wszystkie zbrodnie były popełniane przez ludzi wierzących. Marna to zaiste pociecha! Pan Dmowski wie, że coś podobnego nie mogłoby się zdarzyć np. w Szwecji, czy w Finlandji, krajach protestanckich.

Pisze p. Dmowski o „przeobrażeniach moralnych w świecie protestanckim" i powiadając, że są one niedobre, tak je uzasadnia m. i.: „Zaczynając od przedsiębiorcy angielskiego..... a kończąc na niemieckim bezrobotnym, który woli siedzieć bez zajęcia, pobierając osiem marek dziennie i czasami dorabiając trochę żebraniną, niż pracować za dziesięć marek". Czyżby tak było tylko śród protestantów niemieckich? U nas bezrobotny dostaje tylko 12 — 16 złotych tygodniowo, a nie 8 marek dziennie, a i to często-gęsto nie zgadza się iść do pracy, gdy mu się przygodnie trafia. To nie jest zjawisko protestanckie. W tej samej „Gazecie Warszawskiej" w której p. Dmowski drukował swoje artykuły, jakiś kolega jego pisał o katolickiej Hiszpanji, że nikt tam nie chce pracować. Gdy chłopak ma w kieszeni kilkanaście centów, to leży w cieniu i za żadne skarby świata nie dałby się namówić do pracy. To jest zjawisko stałe i znane także we Włoszech wśród lazaronów.

Jeszcze mniej trafiają do przekonania wywody p. Dmowskiego, gdy twierdzi, że protestantyzm rozwinął materjalizm i obniżył społeczeństwo umysłowo. Czyżby Szwecja, Anglja, Niemcy, Holandja, Danja stały umysłowo niżej od prawowiernej Hiszpanji albo od prawowiernych Włoch? Z takiemi gołosłownemi twierdzeniami trudno polemizować. Ale p. Dmowski w ferworze prokuratorskim nie pozostawia na protestantyzmie ani suchej nitki i czyni go odpowiedzialnym także za obniżenie się przyrostu ludności. „Gdy w społeczeństwach katolickich — pisze p. D. — zwłaszcza łacińskich, posiadających mocne tradycje rzymskie, między pojęciem roli społecznej kobiety a mężczyzny panuje głęboka różnica, protestantyzm w ostatnich latach kilkudziesięciu poszedł w kierunku szybkiego zacierania tej różnicy". Najprzód kobieta dobiła się praw równających ją z mężczyzną w dziedzinie pracy, potem w polityce, teraz ma się zrównać w używaniu życia i dlatego nie chce rodzić. Wywód równie skwapliwy, jak śmieszny. Statystyka wykazuje czarne na białem, że we wszystkich krajach ewangelickich ludność wzrastała daleko szybciej, niż w krajach katolickich, a to dlatego, że kraje ewangelickie posiadały wspaniały przemysł, który mógł był wyżywić daleko więcej ludzi, niż kraje rolnicze. Dziasiaj, przy postępującej urbanizacji, następuje pewna stagnacja powtarzająca się wszędzie i stale. Wielkie miasta nie miewają nigdy własnego przyrostu, lecz żyją ze wsi, które dostarczają im ludności. Co tu ma do rzeczy protestantyzm, to już sekret p. Dmowskiego, tembardziej, że powinien był zwrócić uwagę na katolicką Francję, będącą w nieco gorszem położeniu, niż pół-protestanckie Niemcy.

A co do tej tradycji rzymskiej i to jeszcze mocnej, to znowuż ma się wrażenie, iż p. Dmowski sądzi, że czasy Tarkwinjusza trwały niezmiennie aż do wędrówki ludów, a zaraz potem Gallowie, Iberyjczycy i Włosi podchwycili owe sławetne tradycje rzymskie i trzymają się ich mocno. Gdyby p. Dmowski postudjował choć czasy upadającej republiki rzymskiej i późniejszych cesarzów, to nie mówiłby o mocnych tradycjach tak gołosłownie. Kobieta rzymska wyemancypowała się dość wcześnie z krępujących ją więzów i w chwili, gdy państwo rzymskie upadało, nie mogła służyć za przykład dla ludów „łacińskich", które z narodem rzymskim nie mają nic wspólnego. Nawet we Włoszech faszystowskich, gdzie Mussolini tak głośno nawołuje do pomnażania ludności, daje się zauważyć to samo, co pokolei dotyka wszystkie kraje, osiągające pewien stopień dostatku i kultury. Oto „Temps" z 29/IX r. b. pisze, że liczba narodzin zmniejszyła się we Włoszech w tym roku o kilkadziesiąt tysięcy w porównaniu z poprzednim rokiem i że tak samo jest z liczbą zawartych małżeństw. „Jeśli zjawisko to trwać będzie dalej, to choćby rytm jego nie przyśpieszał się wcale, w ciągu jakich dwudziestu lat dojdzie do tego, że nie będzie przyrostu ludności. I Włochy zkolei znajdą się u początku schyłku demograficznego".

Tak oto wygląda rzeczywistość. Ładne gadanie o tradycjach rzymskich nie zdało się tu na nic. Francja, najstarsza córa kościoła, zrobiła początek. Jej mieszczaństwo zdobyło wielkie wpływy, posiadło duże mienie i spoczęło na laurach. Renta jest konieczna, dzieci nie są konieczne. Hiszpanja była zawsze tak uboga, że

przy wielkiej liczbie narodzin masa dzieci wymierała siłą fatalnej konieczności, jak to jest zresztą wszędzie, gdzie przy dużej biedzie rodzi się dużo dzieci. We Włoszech zaczyna się to samo.

Rzeczywistość jest inna, niż wywody p. Dmowskiego i nie zajmowalibyśmy się książką, w której przy najlepszej woli niepodobna znaleźć ani jednej myśli oryginalnej. Ale u nas ludzie przywykli do uogólnień, a słowo drukowane uważają za wyrocznię. Dlatego należało wywody p. Dmowskiego nieco prześwietlić. Jego twierdzeniom na „podobno" przeciwstawiamy fakty stwierdzalne. To, co on nazywa upadkiem dyscypliny protestanckiej, jest zjawiskiem powszechniejszem. Powiedziałaby mu dużo na ten temat książka Delaisiego „Les deux Europes" (Dwie Europy), która sięga głębiej w zjawiska życia narodowego, gospodarczego i politycznego, niż to czynią nasi publicyści. Ale mamy wrażenie, że p. Dmowskiemu nie tyle chodzi o objektywne stwierdzenie faktów i poznanie prawdy, ile o wygłaszanie namaszczonych komunałów o tradycjach łacińskich, które brzmią bardzo ładnie, chociaż nic nie znaczą. Umie się on przystosować do okoliczności i podczas gdy w roku 1906 głośno wyrzekał się klerykalizmu i wszystkich spraw jego, powoli czynił mu ustępstwa, w miarę jak musiał korzystać z jego usług, a dzisiaj, gdy klerykalizm jest u nas bądź co bądź siłą nie do pogardzenia, p. Dmowski dmie w jego dudkę. Tak zresztą czynili politycy zawsze i wszędzie.

Toteż wywodów p. Dmowskiego nie należy uważać za jakąś objektywną rzeczywistość i za postać prawdy, ale za to, czem one są: za wyraz pewnych uczuć, powstających na tle dążenia do władzy przy pomocy tej siły realnej, jaką u nas reprezentuje kler rzymski. Gdyby się panowanie kleru skończyło p. Dmowski jako polityk realny znalazłby ciekawsze i aktualniejsze tematy do swej publicystyki politycznej.

FR. ROSIKA.

OMIJANIE TRUDNOŚCI.

Jednem z największych zagadnień świata współczesnego jest ewangelizacja społeczeństw, które zazwyczaj nazywamy chrześcijańskiemi, a które prócz imienia naogół nie mają z chrześcijaństwa nic. Podczas gdy misja zewnętrzna czyni pewne postępy, front wewnętrzny kruszy się i maleje. Zdobycze zewnętrzne nigdy nie mogą wyrównać tych strat, jakie chrześcijaństwo ponosi skutkiem przyczyn wielorakich. Pierwsze pokolenia chrześcijan egzotycznych tkwią tak głęboko w starych wyobrażeniach pogańskich, że jeszcze nawet za lat sto nie będą przedstawiały tej siły, którą wolno byłoby uważać za rezerwy kościoła walczącego i nauczającego. Co więcej na przykładzie Meksyku i Abisynji widzimy, że w atmosferze kultury pierwotnej grozi chrześcijaństwu zwyrodnienie. Staje się ono tak wyłącznie magją, że sprawa moralności chrześcijańskiej cofa się tu jakoś na jakiś plan ogromnie odległy. Medalik, obraz cudowny, ceremonja, rytuał, pielgrzymka, oto wszystko. „Wierny", który dopiero co mierzył z rewolweru do swego brata, cofnie się, gdy ujrzy pod koszulą medalik, ale pójdzie do kolegi, steroryzuje go rewolwerem i bez ceremonji shańbi mu żonę. Opowiada o tem Wańkowicz w swej książce „W kościołach Meksyku". Podczas więc gdy chrześcijaństwo w krajach misyjnych dopiero kładzie podwaliny pod własną kulturę, która może zabezpieczyć jego przyszłość, chrześcijaństwo europejskie i amerykańskie ulega takiej intelektualizacji, że dla ludzi obcujących z literaturą współczesną, świecką i kościelną, przedstawia ono splot najprzeróżniejszych problematów. I nie są to już problematy audytorjów uniwersyteckich i literatury specjalnej, która od świata laickiego odgradzała się cytatami hebrajskiemi i greckiemi oraz terminologją dostępną tylko dla wtajemniczonych. Dzisiaj inteligentny laik, interesujący się początkami kościoła, do którego należy i rozwojem wiary, którą wyznaje, otrzymuje w postaci popularnych książek i artykułów wszystkie zdobycze wiedzy teologicznej czasów ostatnich, czyli wszystkie wątpliwości, jakie zrodziły się w umysłach badaczy, ale rozstrzygnięć pozytywnych nie otrzymuje. Tak samo wykształcenie teologiczne młodego duchownego pełne jest zasadniczych sprzeczności. Analiza naukowa wtajemnicza go we wszystkie trudności dociekania, przebudowuje podstawy wiary chrześcijańskiej, przenosząc je z dziedziny bezpośredniego posiadania w dziedzinę umysłowych problematów i problematyczności a potem sytuacja życiowa żąda od niego, aby zamknął oczy na wszystkie wątpliwości, jakie wzbudziła w nim nauka, i aby innych nauczał wiary, podczas gdy przygotowano go przecie do nauczania wiedzy.

Kościół rzymski rozstrzygał te trudne sprawy przy pomocy środków mechanicznych. Zakazywał czytania Pisma świętego, indeksował książki świeckie, palił heretyków na stosach i bezwzględnie potępiał wszystko, co się nie podporządkowywało jego doktrynie i jego władzy. Organizacyjnie panował nad cesarzami i królami, przy których pomocy materjalnej i fizycznej przymuszał ludy do wiary, a jednak stulecia takiej praktyki nie zdały się na nic. Rozru-

chy antypapieskie we Włoszech i palenie kościołów w Hiszpanji i Meksyku mówią same za siebie. Panuje on nad masami tak zwanego ludu, ale świat wielkiej kultury, świat wynalazców, odkrywców, myślicieli, badaczy, stoi zdala od niego. Śród publicystycznych apologetów katolicyzmu, z jakimi spotykamy sie tu i ówdzie po pismach, zawsze cytuje się Pasteura, że był przecie wielkim uczonym, a wierzył. Ale czytelnik świadomy rzeczy rzuca sobie w duchu pytanie: A dziesiątki tysięcy innych uczonych? Cytowanie jednego Pasteura, to za mało. Brunetière, znakomity historyk literatury i wielki klerykał, mawiał z patosem: „W co wierzę? Idźcie zapytać o to do Rzymu!" Dobrze, ale ludzie, którzy chodzili do Rzymu i patrzyli zbliska na to, co się tam dzieje, tracili wiarę. Tak było w wiekach średnich, tak zdarza się jeszcze dzisiaj, jak świadczy przykład biskupa rzymskiego Juljusza Garreta, który przybył do Rzymu, aby złożyć przepisany hołd papieżowi, a zarazem przeszedł na protestantyzm, spostrzegłszy, że Rzym nie ma nic wspólnego z Chrystusem Ewangelji.

Intelektualizacja, rozkładająca wiarę u szczytów i klerykalizacja, która degeneruje tę wiarę w masach ludowych przeraźliwemi ramotami straganiarskiemi w rodzaju „Rycerzy Niepokalanych" i t. p., wskazuje misji wewnętrznej nowe cele i domaga się od niej metod, które odpowiadałyby nietylko czasom, ale które liczyłyby się z człowiekiem dzisiejszym i jutrzejszym. Każdy z nas wie, jakie bolesne przeżywał rozczarowania na tle ewangelizacji, której sam bywał przedmiotem w swoim czasie. Jako młodzieńcy czytywaliśmy traktaty religijne, które pozyskiwały nasze serca i umysły dla Chrystusa. W traktatach tych pewne fakty historyczne, pewne dane biograficzne z życia wielkich ludzi, zjawiska socjalne i polityczne służyły jako argumenty. Jakież wrażenie wywierało na nas, że wielki Napoleon na wyspie świętej Heleny zwrócił się ku Chrystusowi i odwrócił się od świata! Wniosek rozumowy i uczuciowy był prosty: Skoro nawet taki Napoleon poszedł za Chrystusem, jakże moglibyśmy się wahać my, o tyle mniejsi od niego? A potem czytało sie poważne źródła historyczne, z których wynikało, że Napoleon nie wierzył w nic, że Koran był mu dla jego celów równie dobry, jak Ewangelja i że nawet umierał „politycznie", kierując się względami dynastyczno-oportunistycznemi. Czy autor traktatu chciał sobie ułatwić zadanie, czy nie wiedział, jak się rzeczy mają, czy też poprostu nie docenił potęgi prawdy?

Na Morawach pisze i działa literat i apologeta katolicki, ks. Deml. Wydał ostatnio wielką księgę o zmarłym niedawno poecie czeskim Otokarze Brezinie. Celem tej książki jest wykazanie, że Brezina był z przekonania katolikiem, że przy każdej sposobności sławił katolicyzm i że poza nim nic lepszego nie znał. Mniejsza, że tenże Brezina na łożu śmiertelnem nie chciał przyjąć sakramentów katolickich, a nawet wyrażał wątpliwości, czy istnieje życie zagrobowe. Niezawsze umysł złamany ciężkiem cierpieniem odpowiada za swoje słowa i myśli. Ciężka choroba może wykoleić duszę człowieka i dla tego dobrze jest trzymać się nie tego, co mówił półprzytomny umierający, lecz tego, co głosił i czynił człowiek rozporządzający pełnią sił umysłowych i moralnych. Czyta się tedy apologję ks. Demla i myśli się, że Brezina mógł był mieć takie przekonanie, jakie mu przypisuje ks. Deml. W każdym razie niczego się zgóry nie przesądza. Lecz oto na stronicy 373 wielkiej książki czytamy: „Nietzsche ma epitet szaleńca, ale nasz lud słusznie twierdzi, że dzieci i szaleńcy mówią prawdę. Otóż Nietzsche mówi o narodzie tak, jak Brezina".

A teraz baczność: Deml bierze sławę Nietzschego za argument i ta sławą legitymuje Brezinę. Ma to znaczyć: Nietzsche, wielki filozof, mówi o narodowości to samo co Brezina, ergo Brezina jest równie głęboki. A skoro w jednem jest tak głęboki, to i w poglądach swoich na katolicyzm może być uważany za autorytet. Ale cóż się okazuje? Deml pisze: „Brezina mówił także o narodowości, albo lepiej mówiąc o patrjotyzmie, że użyjemy tu tego słowa tak pogardzanego przez bezbożników i Żydów. W patrjotyzmie jest według Breziny Bóg, wola Boża i dlatego wszystko, co się zwraca przeciwko temu pojęciu, jest złe, djabelskie". Tak miał mówić Brezina i miał mówić tak samo, jak Nietzsche. Otóż Nietzsche jest antynacjonalistą i zdeklarowanym wrogiem wszelkiego patrjotyzmu. Stwierdzają to wszyscy znawcy Nietzschego, czy to będzie Vaihinger, Niemiec, czy Andler, Francuz. Nietzsche jest także ateistą i nieubłaganym wrogiem religji, więc wykluczone jest, aby mówił o patrjotyzmie jako o woli Bożej. Autor poprostu nie zna Nietzschego, co mu się wybacza, ale ponieważ argumentuje w taki sposób, w czytelniku powstaje pytanie, czy cała reszta książki nie jest aby równie prawdziwa, jak ten jeden szczegół. I dla czytelnika krytycznego pisarz ten jest sprawą załatwioną.

Neomedjewiści katoliccy bronią średniowiecza jako epoki idealnej i taki naprzykład Huysmans w swojej głośnej książce „Là bas" wkłada jednemu z bohaterów takie słowa w usta: „Wybacz, moja droga, ale dałaś wyraz wielce błędnemu mniemaniu: średniowiecze nigdy nie było, jak mniemasz, epoką brudną, albowiem ludzie owych czasów pilnie chadzali da łaźni. W Paryżu naprzykład, gdzie dużo było takich łaźni, łaziennicy biegali po mieście, wołając, że jest gorąca woda. Dopiero Odrodzenie zawiniło, że we Francji usadowiły się brudy..." Mnisi średniowieczni nie kąpali się nigdy, wszy były perełkami Bożemi i im więcej nosił ich taki zakonnik na sobie, tem wyższą była jego zasługa. Legendy średniowieczne wysławiają brud a strumienie,

w których mnisi próbują się kąpać, wysychają. Tak zwany „odor sanctitatis" był przenikliwym smrodem. Toteż taki apologeta nie wiele zyska śród czytelników krytycznych. Ma się wrażenie, że pisarz sam nie wierzy w skuteczność swoich argumentów. Ot, pisze, aby pisać.

W ewangelizacyjnej publicystyce i w traktatach mających służyć ewangelizacji, spotykamy się z takiem samem omijaniem trudności. Jest to krótkowzroczne. Człowiek, przebudzony do samodzielnego życia religijnego, nie zatrzyma się przy traktacie, ale pójdzie dalej, sięgnie do źródeł i monografij. Należałoby się liczyć z psychologją elementarną. Jeśli pozyskam brata dla idei chrześcijańskiej przy pomocy argumentu, który okaże się błędnym w ujęciu i w interpretacji, to nietylko że sprawie nie posłużę, ale jej zaszkodzę. Na uniwersytecie naprzykład dzieją się takie rzeczy: młody student medycyny zostaje pozyskany dla stowarzyszenia młodzieży chrześcijańskiej, uczęszcza na zebrania biblijne i modlitewne, bierze udział w pracy organizacyjnej i misyjnej. Wszystko jest ogromnie proste i jasne. W kieszeni nosi Nowy Testament i z rozkoszą rozczytuje się w tekstach tej odkrytej dla siebie księgi. Ale pewnego popołudnia ma godzinkę czasu, spotyka kolegę-teologa i razem z nim idzie na wykład teologiczny, a profesor wywodzi, że pierwsi wielcy nauczyciele kościoła jak Ireneusz, Klemens Aleksandryjski i Tertuljan nie troszczyli się o rzeczywistość, ale komentowali Pismo św. alegorycznie, czyli dowolnie, że nie dostrzegli poprostu apostoła Pawła i nie umieli zauważyć różnic między nauką Jezusa a teologją Pawła. Wrażenie jest wstrząsające. Jakto, więc bierzemy coś tak ważnego, jak doktryna chrześcijańska, z rąk i umysłów ludzi, którzy się nie orjentawali w rzeczywistości?

W stowarzyszeniu nie umieją rozwiać jego niepokoju, każą poprostu zignorować twierdzenia uczonego teologa. Ale czy ten teolog mówił prawdę? Czy miał rację? Ta myśl wraca bezustannie i rozwija się. Młody medyk idzie do drugiego teologa i słyszy dosłownie: „Według Mateusza (z całą stanowczością) i według Łukasza (prawdopodobnie) Jezus narodził się za czasów Heroda Wielkiego, zmarłego w 4 roku przed naszą erą. Herod był niepodległym królem, sprzymierzeńcem Rzymu, więc na jego terytorjum spis rzymski wogóle nie mógł być nakazany. Dopiero po usunięciu Archelausa (6 r. po Chrystusie) została Judea przyłączona do rzymskiej prowincji Syrji i wtedy też odbył się pierwszy spis rzymski w Judei. Ale nawet ten spis nie mógł dotyczyć Józefa, jako poddanego tetrarchy Heroda Antypasa, chyba, że byłby on posiadał własność ziemską w Judei. Znamy tylko spis roku 7 naszej ery dokonany przez Quiriniusa, innego nie znamy. Spis ten dlatego tak wzburzył ogół żydowski, że był pierwszym w żydostwie, a nadto w ostatnich latach panowania Heroda nie Quirinius był namiestnikiem Syrji, ale Varus... Próba Łukasza związania narodzenia Jezusa z wydarzeniem światowem nie udała się. Religijnie jest to dla nas obojętne. Widzimy tu jedynie, że ewangelista pragnie wytłumaczyć, dlaczego rodzice Jezusa znaleźli się w Betleem". Takie wiadomości wikłają proste rzeczy wiary.

Najlepiej, żeby medycy nie chodzili do teologów na wykłady, ale jeśli już byli na nich, jeśli poznali mnóstwo niepokojących zagadnień, to co z nimi zrobić? Ewangelizacja musi spojrzeć w oczy rzeczywistości i musi zdać sobie sprawę z jawnego faktu, że przez omijanie trudności nic nie osiągnie, ale trudności istniejące się powikła. Sprawy tak już powszechnie znane, jak kwestja autorstwa różnych ksiąg Pisma świętego, jak zagadnienie synoptyczne i wątpliwości, dotyczące niektórych listów nowotestamentowych, nie są już sekretem teologów, a przez przeciwników religji bywają wyzyskiwane jako argumenty przeciw prawdziwości chrześcijaństwa. Ewangelista musi się liczyć z tem, że jego słuchacz czy czytelnik, słucha i czytuje nietylko jego i że nauczanie musi zawierać wszystko, co ma się ostać wobec objekcyj pochodzących z obozu przeciwnego. Omijanie zagadnień trudnych nie zdało się na nic, bo nawet pisma literackie coraz częściej poruszają sprawy teologiczne i historyczno-religijne. Naprzykład w 5 numerze rosyjskiego emigracyjnego czasopisma „Czisła", wychodzącego w Paryżu, Dymitr Mereżkowski drukuje rozdział ze swej książki „Jezus Nieznany", a w rozdziale tym, on, człowiek wierzący, próbuje spojrzeć w oczy wszystkim tym zagadnieniom, które były dotychczas poruszane czy to przez teologów liberalnych, czy też przez najradykalniejszych wolnomyślicieli. Zetknął się on nawet z genealogją Jezusa, jaka istnieje w rękopisie syryjsko-synajskim, próbuje ustosunkować się do sprawy sprzeczności istniejących w tekstach ewangelji i na wszelki sposób stara się uratować wiarę dla człowieka dzisiejszego, który jej koniecznie potrzebuje, a którą intelektualizm współczesny odbiera mu na każdym kroku.

Metoda ewangelizacji współczesnej jest jednem z największych zagadnień dnia dzisiejszego. Kto rozwiąże to wielkie zagadnienie, da światu nieskończenie więcej niż dać mu mogą wielcy władcy. Ale zagadnienie to należy do najtrudniejszych, jakie wyobrazić sobie można. Między treścią Ewangelji a człowiekiem dzisiejszym legło 19 wieków doświadczeń politycznych, społecznych, naukowych. Zamkniemyż na nie oczy i odwrócimyż się od nich? Metoda nieskuteczna! Gdybyśmy spalili wszystkie pisma Nietzschego, Straussa, Renana, Feuerbacha, na nicby się nam to nie zdało. Jedyną skuteczną drogą ewangelizacji jest ta, jaką wybrał Langbehn, który wytężył wszystkie siły, aby nawrócić Nietzschego. Musimy poznać wszystkie trudności człowieka współczesnego i w głębokiem skupieniu ducha musimy znaleźć sposób pokonania tych trudności w sobie i w swoich bliźnich.

ROMUALD BALAWELDER.

DUSZA PÓŁNOCY.

(Z podróży „Polonią" do Danji, na fjordy Norwegji i Nordkap).
(Ciąg dalszy).

Niedoleko stąd plac Ratuszowy. Jest wytworny i zmusza znowu do zadzierania głowy wysoko, aż na oryginalne wieże miedziane, seledynem śniedzi pomalowane.

Czas ucieka. Pani Natalja marudzi i przypomina, że obiad na statku przepadnie. Mijamy więc w pospiesznem tempie mniej ważne skarby architektury, aż kroki zatrzymujemy przed słynną Glyptoteką.

„Ny Carlsberg Glyptothek" czyni już na zewnątrz czarujące wrażenie. Prawdziwy pałac sztuki. A wewnątrz? Zdejm kapelusz i z pietyzmem a zachwytem przyglądaj się nagościom marmurowym w tym kościele cudów. Różne kraje, różne czasy wysiliły się na nagromadzone tutaj arcydzieła rzeźby. Królują wśród innych mistrzów: A. Jerichan i H. V. Bissen, uczniowie Thordwaldsena,—P. Dubois, E. Barrias, A. Mercié, A. Rodin.

— Nic podobnego w zakresie rzeźby nie widziałam w Polsce — szepce p. Lida w gorączce zachwytu.

Ma słuszność niestety.

Nawet dr. Antoni, co Luwry oglądał i Wersale, twarz ma pełną skupienia i z dużem znawstwem przygląda się różnym szczegółom nagich postaci.

Pani Natalja utknęła w olbrzymiej hali szklanej i oddała się jakimś marzeniom. O czem dumała — kto zgadnie? Tło do marzeń w każdym razie cudowne. Wodotryski szemrały, amorki marmurowe wyglądały z pośród liści pysznych palm. Bała się p. Natalja iść dalej, w labirynt cudów, w chaos rzeźb, gdzie trzeba patrzeć, duszy oczami patrzeć — i być mocnym.

O! bo zwiedzanie muzeum sztuki męczy. Dusza staje wobec tysiąca sprzecznych uczuć, namiętności, myśli, w kształty nieruchome zakutych. Tchnąć w nie życie musi, ruch, krzyk, jęk, śmiech. Inaczej rzeźba kamieniem jest, a obraz farbą i płótnem.

Szedłem po salach wytwornych Glyptoteki, jak po zaczarowanej świątyni, orgji życia pełnej.

Bogowie pogańscy i Chrystus, święci i rozwydrzone rozpustnice, muskuły mężczyzn napięte i postać skulona matki boleściwej, nienawiść i miłość, rozpacz niewolnika, wiara, nadzieja, przekleństwo, zemsta. Zima i wiosna. Górnik spracowany i wypieszczony burżuj. Sprzeczności pogmatwane z sobą, połączone w nieśmiertelnej zgodzie. Tak godzić umie tylko śmierć, albo artysta — w sztuce. I może Bóg patrzy na nas z piedestału Nieśmiertelności, jak my na te dzieła genjusza ludzkiego? Najwyższy Genjusz, twórca namiętności naszych — i śmierci, duszy i kamienia?...

***

Po obfitym obiedzie, spożytym na statku, podróżni dzielili się pierwszemi wrażeniami.

— Miasto oryginalnych wież i największej w Europie procentowo ilości rowerów [1]).

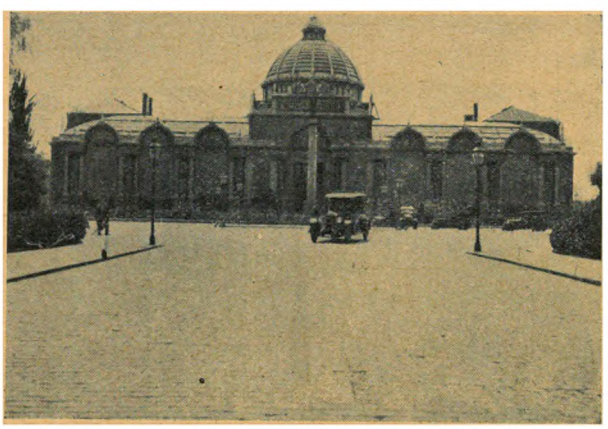

KOPENHAGA. NY CARLSEEPG GLYPTOTHEK.

— Brzydkich kobiet i niezgrabnych mężczyzn.

— Spokoju, równowagi ducha.

— Elegancji, kultury, uczciwości.

— Największej w Europie rozpusty.

— Braku polotu.

— Braku policji, żebraków, rzezimieszków.

— Czy zauważyliście państwo, jak dbają o wygody? Przy każdym prawie większym sklepie automaty, z których wypadają papierosy, owoce, serwetki, kubki na wodę? W niedzielę czy święto we wszystko, co potrzebniejsze, można się zaopatrzyć.

— Byłem w Kopenhadze już kilka razy. Znam miasto i ludzi na wylot. Żebyście wiedzieli, jak mieszkają. W lada mieszkaniu kosztowne i wygodne meble, cenne antyki. Zauważyliście państwo zapewne dużą ilość antykwarjatów?

— Owszem. Moc pięknych wystaw. Ale wszystko djabelnie drogie. Chciałam kupić drobnostkę z porcelany. 30 Koron *)!

— To nic. Była pani w królewskiej fabryce porcelany?

[1]) Przeszło 300.000 rowerów.
[2]) 1 kor. duńska (= 100 örów) wówczas około 2.50 zł.

— Nie. Słyszałam, że nie wpuszczają.

— A nas wpuścili — rzekł dumnie inż. Juljusz. Wpuścili dzięki protekcji absolwentki szkoły wyrobu porcelany w Sevres. Otóż w tej fabryce, światowej sławy, istniejącej od 1779 r.— podkreślił, — są drobiazgi od 5.000 Kor. w górę.

— No, no — dziwili się biedacy z Polski.

— A tak. Ale rzeczy śliczne naprawdę. Widzieliśmy specjalną salę dla malarzy, artystów pierwszorzędnych, gdzie tworzą coraz to nowe desenie. Coprawda ¾ sali świeciło pustką. Kryzys dotknął i tutaj fabryki.

— Jakto? I tutaj są bezrobotni?

— Naturalnie — ozwał się nareszcie i profesor Hipolit, chodząca encyklopedja. — Już w 1928 r. było 37 tysięcy przeszło bezrobotnych t. j. 27 na 1000 zarobkujących. A w Polsce było tylko 9 na tysiąc.

— Przy dużej zamożności kraju niewiele to znaczy.

— A jednak Duńczycy emigrują także...

— Chyba z amatorstwa. Wie pan profesor chyba dobrze, że udział Danji w handlu światowym jest większy od udziału naszego.

— Rzecz oczywista. Pod każdym względem jesteśmy daleko w tyle. Niech pan weźmie nasze włościaństwo. Dobrze, jeżeli czytać, pisać i rachować umieją. A tutaj? Słyszał pan o uniwersytetach ludowych? To są naprawdę wyższe uczelnie dla ludu...

— Słyszałem, słyszałem... Ale co to ma do rzeczy?

— Właśnie, że ma. Oświata jest podstawą całego dobrobytu. — z ferworem jął prawić profesor. — Przez oświatę narody zwyciężają. Weźcie państwo Danję. To doskonały dla nas przykład. Bogactw mineralnych[1]) nie dała im natura, to zabrali się do morza. Zasypywali targi rybne śledziami, flondrami, węgorzami. Potem, gdy lepsze zyski zaczęła dawać ziemia, zarzucili częściowo dary morza, wycięli słynne lasy bukowe i pokryli kraj łanami pszenicy, żyta, jęczmienia, owsa...

— Owa! — ziewnął na cały głos mecenas — jakie to ciekawe. Ostentacyjnie wstał i odszedł.

— Może ja państwa nudzę? — zorjentował się prof. Hipolit.

— Niech pan mówi, prosimy — odezwało się parę głosów, które wolały żywe słowo od podręcznika czy monografji.

— Na czem skończyłem? Aha! — Zabrali się do uprawy zboża i wyprzedzili wkrótce narody o starej kulturze rolnej. O całe niebo wyprzedzili i Polskę[2]). Wyprzedzili cały świat. Ale zboże wkrótce staniało. Więc energiczna ludność rzuciła się do hodowli bydła, nierogacizny, drobiu, koni. Przemysł mleczarski rozwinął się w tak szalonem tempie, że z małego tego państewka przetwory mleczarskie, mięso, jaja, zasypywać zaczęły całą północną i zach. Europę. Chwyciła Danja nawet handel mleczarski Syberji, Rosji, Szwecji, Finlandji w swoje ręce. Stała się znowu przykładem dla całego świata[3]).

— Rzeczywiście uczyć się nam od nich — cicho rozpoczęła panna Marja, nauczycielka z wsch. Kresów.

— O! tak! Uczyć się! I uczyć innych! Idziemy stale w ogonie innych, bo połowa z nas jest analfabetami, a druga połowa jest za mądra, za delikatna, za daleko od pracy rąk. Danja jest narodem o starej, wytwornej kulturze (uniwersytet założ. 1478 r.), a nie wstydzi się żadnej pracy.

Zapanowało milczenie. P. Marja coś zapisywała. Zauważyłem, że znalazłem się w gronie pedagogicznem. Co żywsze i weselsze uciekło już na ulice Kopenhagi. Postanowiłem wyciągnąć wnioski pedagogiczne z rozmowy — z historji gospodarczej Danji nasuwają mi się pewne wskazania. W wyścigu pracy starajmy się teraz my coś nowego stworzyć, co stałoby się przykładem dla całej Europy, świata całego. W takim wypadku nie będziemy nareszcie szli w ogonie innych narodów...

— Łatwo powiedzieć: stworzyć. Ale co? Nic nowego nie wymyślimy.

— Musimy. Inaczej djabli nas wezmą. Każdy zgon polityczny ma za przyczynę uwiąd psychiczny. Naród, gdy twórczym być przestanie, gdy zatraci się w naśladownictwie innych, umrzeć może. Tak stało się z nami. Memento!

— To stara prawda. To wszyscy wiedzą. — Ale czem nowem my być możemy?

— Powiem panu naprzód, czem byliśmy i czem jesteśmy. Byliśmy rycerzami błędnymi, walczącymi o najszczytniejsze idee. Zyskaliśmy miano zaszczytne „Przedmurza Chrześcijaństwa". A w praktyce została z tego nędza i ucisk chłopa i niewola rzymska i chytra twarz Żyda, zgarniającego złoto z łez polskiej pracy. A potem przyszły pragnienia szlachetnych i nikczemność ogółu. Wielkie wołania, wizje natchnione — i ryk pijany szlachty. Musieliśmy upaść.

— Znana historja. Ale co z tego?

— Dużo. Po upadku znowu pragnienia szlachetnych, pragnienie wolności — i sen błogi ogółu. Przyszła wolność. Przyjść musiała, bo Europa przypomniała sobie, że byliśmy dobrym murem ochronnym bogatego Zachodu przed dzikim Wschodem. I co teraz? Mamy być murem,

[1]) Glina, kreda, wapień, na Bornholmie trochę węgla, glinki porcelanowej, na zach. Jutlandji bursztyn.

[2]) Parę przykładów: Produkcja pszenicy z 1 ha: Danja 34 q, Anglja 22, Niemcy 19, Polska 13, St. Zjedn. 10, Rosja 6½. Produkcja jęczmienia z 1 ha: Danja 25 q, Anglja 20,7, Niemcy 18½, Polska 13.

[3]) Hodowla: bydła 2,850.000 t. j. na 100 ha 66, Urugwaj 47, Czechosłowacja 33,4, Niemcy 36.4, Polska 22; nierogacizny 3,125000 t j. na 100 ha 73, Niemcy 41, Polska 16, na 1000 mk.: Danja 904. najwięcej na świecie; koni na 100 ha 13, Polska 10½, Niemcy 8.

który dzieli? Umacniać się, aby potem patrzeć, jak Zachód sam powie: mur nie potrzebny, można go rozebrać. Misją wielkiego narodu nie może być dzielnie. Może być...

— Łączenie?

— Tak jest! Łączenie. To jest misja wielka i święta. Misja godna wielkiego narodu. Dzisiaj wcale nie mistyczna. Realna, mocna, najaktualniejsza. Ważniejsza od masła, sera, jaj, czy mięsa. Misja wymagająca niesłychanego wysiłku ze strony całego społeczeństwa. Biada, jeśli nad murem polskim Zachód poda rękę Wschodowi.

— To bardzo ładne, ale to rzecz dyplomacji! Co my mamy do tego?

— Pan jest pedagog? To pańska praca przedewszystkiem. Podług jakich wskazań wychowuje pan polską duszę? Mur wojska stoi, *co dzieli*. Widać go — ma *polskie* mundury. Poznać, że to *polskie* wojsko. A co czyni armja wychowawców? Czy stworzyliście *polską* pedagogikę? Na polski język przełożyliście niemiecką duszę, duszę francuską, amerykańską. Sądzicie, że to polską stworzy duszę? Jest chaos, zamieszanie... Nie macie żadnego wpływu na młodzież. Pedagogika wasza obcą dla niej jest, a dla was sztuczną. Kto inny włada duszami młodych. Czarna ręka i czerwona gwiazda. To każdy wie. Jeśli tak będzie, zginie Polska.

— Prawda — westchnęła panna Marja. — Ciężkie jest nasze położenie.

— Ciężkie położenie. Otóż to właśnie. Jesteśmy krainą przejściową. I duszę mamy przejściową, duszę kontrastów. Nasiąka ona niby gąbka przeróżnymi wpływami. A to nie jest konieczne. O nie. Danja jest też krainą przejściową. Między północą i południem. Belgja, Holandja, Szwajcarja — między Germanami i Romanami. I te małe kraiki — odrębne wytworzyły dusze. I dużo w świecie znaczą. I lepiej powodzi się im, niż wielkim państwom. Dlatego, że łączą, nie dzielą, łączą jako odrębne ogniwa, nie dopuszczając do krótkich spięć.

Na horyzoncie jadalni ukazała się wysoka postać p. Lili. Była gotowa do drogi.

— Zaraz, za chwilę służę pani — rzekłem, wstając.

— Pan nie dokończył, a to takie ciekawe — westchnęła panna Marja.

Uradowało się serce moje, że znalazłem chętnych słuchaczy. Nauczyciele są to najpoczciwsi ludzie pod słońcem. Wysłuchają cierpliwie każdej gadaniny.

— Powiem poprostu. Do Polski wsiąka z jednej strony wybujały nacjonalizm, z drugiej bolszewizm. Walczymy z jednym i drugim. Walka z ideami staremi i pociągającemi jest trudna i wyczerpuje siły. Tembardziej, jeśli na ich miejsce nie stworzyliśmy żadnej idei własnej, godnej chwili obecnej, przewidującej jutro. Idea państwowa jest środkiem do celu; tradycja, wskazania historyczne to dopiero alfabet, z którego ułożyć należy nowy napis na sztandarze Polski. Napis godzić musi obie idee sąsiadów i głosić wskazania od nich wyższe. Głosić czynem, nie czczą gadaniną. Powiększajcie nie tylko dobra gospodarcze, ale i dusze polskie, dopóki mur wojska stoi!

— Utopja — wtrącił sceptycznie prof. Hipolit.

— A Szwajcarja? W środku państw odwiecznie wrogich. Łączy, zmusza do szacunku nie armją, a duchowemi wartościami. W Genewie

KOPENHAGA. GWARDZISTA NA WARCIE.

przyjmuje przedstawicieli całego świata, nie obawiając się, aby w tej różnorodności zatracić siebie. Jest magnesem, który przyciąga dusze i złoto. Europa, ten olbrzymi magazyn bogactw, mnożących się z dnia na dzień, głodna jest, o nędzy krzyczy, o kryzysie. Głodna jest celu, wyższej racji istnienia. Walory duchowe stają się lepszym towarem eksportowym, niż zboże, mięso czy nawet maszyny. A już napewno są lepszą gwarancją niezależności, niźli bogactwa i wojsko. Tych walorów duchowych oczekuje Europa. Jeśli Polska stworzy je — zachowa wolność na wieki.

Pożegnałem bractwo pedagogiczne.

— Jakieś mądre rzeczy pan mówił? — zaczepiła p. Lila.

— Mówiłem, że jeśli mądrzejszymi i uczciwszymi będziemy od sąsiadów, to możemy śmiało otworzyć przed nimi wrota na oścież. Nie oni nas wtedy, lecz my ich poprowadzimy.

— Czy ma to jaki związek z Kopenhagą i Danją?

— Taki, że jesteśmy Polakami, zwiedzającymi w tej chwili Danję, kraj wyższej kultury. Chodzimy patrzeć się i uczyć.

***

Włóczęga po obcem mieście bez planu, bez przewodnika, w milczącem towarzystwie staje

się przeżyciem, nie tylko obserwacją. Bez przewodnika — powtarzam. Bez nazw, bez wypatrywania linij architektury, bez książkowego oglądania muzeów, bez balastu, który powoduje niestrawność wrażliwości i przemęczenie mózgu. Patrząc na głowy podróżników - męczenników,

KOPENHAGA. WODOTRYSK BOGINI GEFION ODDZIELA WYSPĘ ZELANDJĘ OD ZIEMI SZWEDZKIEJ

starających się wbić w pamięć tysiące szczegółów i szczególików, wymienionych w przewodniku, doznaję zawsze uczucia litości. Ciekaw jestem, co ci nieszczęśliwcy będą mieli w głowie, gdy w taki sposób zwiedzać będą miast np. sto? Co zapamiętają z pierwszego? I co im z tego przyszło?

Zbedekeryzowanie podróży stało się pewnem wykolejeniem. Bo powiedzcie, kochani ludzie: czy warto? Czy warto męczyć umysł sprawdzaniem, że wszystko jest tak istotnie, jak w książce wydrukowano? Że tam istotnie taka figurka stoi, a tam ulica jest załamana i idzie pod górę? A owdzie kolumna należy do stylu koryncklego, a tu jest gotyk, a tam renesans? Widocznie już ktoś sprawdzał, kiedy opisano i drukowano.

Jeśli miasto nie jest więzieniem, a jego mieszkańcy smutnymi wykolejeńcami, jeśli przyjmiemy, że jest ono pięknym obozem dla szczęśliwych ludzi, którzy siebie wzajemnie potrzebują i w zgodzie wspólnie mieszkają — to cieszcie się z mieszkańcami zamiast oglądać ich ściany i meble. To poprostu nie wypada. A, jeśli jest więzieniem — to w nogi!

O ileż mądrzejsi są autokaryści, wielbiciele biur Cook'a. Przelecą, jak błyskawica, przez miasto, wysłuchają kilka słów objaśnienia, zapłacą przy wysiadaniu — i już mają spokój. A, gdy jeszcze kupią coś na pamiątkę i zrobią parę zdjęć fotograficznych — to już szczyt przyjemności i korzyści ze zwiedzania miasta.

Zautokaryzowanie jest wynalazkiem, dostosowanym do potrzeb współczesnego człowieka. Rozmnożył się okaz podróżnika „on wszystko wie" dlatego, że „on wszystko widział". Nowy okaz mędrca, — „homo sapiens", korzystający z nowoczesnych zdobyczy wiedzy, ściślej mówiąc kultury materjalnej, — zgoła prześcigającej wartością zasięg strawności duchowej.

Co to będzie za lat 100 lub 200? Gdy potomkowie Maciusia-chłopka czy Nuchima-śledziarza wędrować będą w salonkach samolotowych po wszej kuli ziemskiej? Po lód do lodowni podlecą na Antarktydę, jajka piec będą na Saharze czy pustyni Mohave. Lada Bobuś lub mademoiselle Fifi ogarnie stokroć szersze horyzonty od nieboszczyka Sokratesa, Arystotelesa lub Platona.

Z obowiązku sprawozdawcy komunikuję, że jakiś stary, bezwstydny Satyr szepce mi do ucha:

— Można bujać rakietowcami po księżycach, nawet Marsach, a nosem duszy tkwić w mysiej dziurze ziemi.

Może to i niegłupie? Może Sokrates mądrzejszy był od tego 14-letniego Leosia, co z takim patosem peroruje na statku o samochodach, o radjo, fjordach Norwegji? Może głębiej sięgał i dalej stary mędrzec grecki, choć na ciasnym rynku Ateńskim mądrości swoje prawił?

Pytanie zostawiam nierozstrzygnięte, bo w Kopenhadze jestem; czasu mało, a ludzi dużo. Jakoż popołudniu zaroiło się miasto. Tłumy przelewają się po chodnikach, tłumy uwijają się na rowerach. Włóczę się po mieście, po pryncypalnych ulicach, skwerach, wyprawiam się na przedmieście, włażę do zaułków. Zmierzch zapada, a ja gnam, gnam. Panna Lila patrzy od czasu do czasu na mnie z podziwem i przerażeniem.

— Czego on szuka? — myśli napewno, ale milczy, bo nie chce przeszkadzać. A ja też milczę. Bo i cóż jej powiem? Wyśmieje mnie, gdy rzeknę, że szukam żebraka, łajdaka, pijaka, złodzieja, policji „w czynie". A ja tego szukam istotnie. Zaglądam Kopenhażanom w oczy, patrzę na nosy, policzki, brzuchy, nogi. Spokojnego obywatela potrącam, — on mnie przeprasza. Bezczelny spokój, powaga, solidność, zadowolenie.

Co to za miasto? Niesamowite miasto uczciwych ludzi.

Dotąd miałem najgłębsze przekonanie, że miasto jest dziwnym tworem, łączącym — ku utrapieniu czy podniesieniu ludzkości — piekło z niebem. Gdzie djabeł podał kosmatą łapę delikatnej rączce świętego aniołka. Gdzie dom rozpusty tuli się w cieniu domu Bożego. Gdzie obok przybytku natchnionej sztuki, skacze muza kabaretowa, wyje, obnaża do naga mocno zużyte ciała. Gdzie matka prawi córce o cnocie, a ulica chwyta naiwną w wyuzdane objęcia i kusi, nęci, wabi: „życie to strój, malowidło twarzy, pieszczota męska, pijaństwo, obżarstwo", 7 grzechów głównych śmieje się kusząco z ponętnych wystaw i występnych zaułków. Gdzie aktor zarabia i zbiera oklaski za przedrzeźnianie polskiej mowy — a obok nieszczęsny profesor wpaja w znudzonych słuchaczy szacunek dla wszystkiego co polska wytworzyła kultura. Gdzie

ordynarny fabrykant przechowuje w wnętrznościach swoich suteryn wygłodniałego robotnika, za pazuchą nóż kryjącego na wypadek rewolucji. Gdzie — gdzie — gdzie. Możnaby tak w nieskończoność podawać przykłady, jak wzajemnie odpychające się elementy żyją z sobą w cudownej zgodzie, nad którą czuwa policja, wojsko, sądy ,więzienia...

Przekonania takiego o mieście nie zachwiały ani miasta wytwornej Francji, purytańskiej Anglji, niedźwiedziowatych Niemiec, zarozumiałej Italji, nawet czcigodnej Szwajcarji, Belgji czy Holandji, nie mówiąc oczywiście o dewocji pełnej — do niedawna — Hiszpanji, czy półkulturalnej Bałkanji lub dzikiej Afryki.

Dopiero podróż na północ ukazała inne oblicze miasta. W $^3/_4$ miljona liczącem mieście nie widać przedenerwowania. Ludzie patrzą na siebie spokojnie i życzliwie. Policja nadaremnie wypatruje złodziei, pijaków, zbrodniarzy. Wojownik, pełniący wartę przed pałacem króla, pozwala wieść się na różne kąty dla dokonania zdjęć. Jednem słowem coś zgoła dla mieszkańca Warszawy niepojętego.

Jakaż, do djabła, może być tego przyczyna? Oświata, dobrobyt...? Może dobrobyt? A, gdyby tak nakarmić rzesze nędzarzy naszych, bandytów, zawodowych złodziejów, zbrodniarzy, opętanych kochanków, u dziewek ulicznych — tak po uszy karmić dłuższy czas mlekiem, serem, jajami, mięsem, owocami — czy zbrodniarze mordowaćby przestali? Złodzieje kraść?—ulicznice tarzać się po ulicy, awanturnicy upijać się i hałasować? Czy zapanowałby spokój — jak tutaj — ład, uczciwość?

Wątpliwości, jak czarne ptaki, unosiły się nad moją głową, aż p. Lila spostrzegła i ulitowała się nade mną:

— Pójdziemy do Tivoli?

— Najchętniej.

Tam nareszcie zdobędę materjał obciążający!

(C. d. n.)

WIADOMOŚCI Z KOŚCIOŁA I O KOŚCIELE.

W dniu 20 b. m. na konferencji kolegów i byłych uczni zmarłego profesora Ks. Karola Seriniego postanowiono uczcić pamięć Zmarłego przez ufundowanie przy fakultecie teologji ewangelickiej na Uniwersytecie Warszawskim stypendjum imienia Zmarłego oraz wydać księgę pamiątkową, zawierającą prace Zmarłego, drukowane w różnych czasopismach.

Zebrani ukonstytuowali się jako komitet i postanowili opodatkować się na rzecz funduszu stypendjalnego i zwrócić się do wszystkich duchownych ewangelickich i organizacyj kościelnych z wezwaniem o składanie ofiar na ten cel.

***

W dniu 20.XII. b. r. Ks. P. Nikodem, Pasterz Zboru Ewangelickiego w Ustroniu na Śląsku Cieszyńskim, obchodzić będzie 25-letni jubileusz działalności swojej pasterskiej.

***

Warszawa. Rada kościołów ewangelickich.

W dn. 12 i 13 listopada r. b. odbyło się w Warszawie pod przewodnictwem ks. biskupa D. Juljusza Burschego posiedzenie jesienne Rady kościołów ewangelickich w Polsce. Zajmowano się m. in. aktualnemi zagadnieniami, które poruszyły sfery ewangelickie w Polsce. Przyjęto sprawozdanie z przebiegu rokowań przewodniczącego z władzami państwowemi w sprawie kościoła ewangelickiego w Hucie. Obszerną dyskusję wywołał smutny wypadek rzekomego powrotu ś. p. min. Czerwińskiego na łono kościoła katolickiego, a w związku z tem sprawa różnorodności i rozbieżności ustawodawstwa, tyczącego się zmiany wyznania w Polsce oraz braku specjalnej ustawy w tej dziedzinie na terenie b. Kongresówki. Przytoczono szereg jaskrawych przykładów konwersji, z których wynikało że ewangelicy w Polsce ponoszą wielką szkodę z powodu braku jednolitej ustawy, regulującej sprawę zmiany wyznania według zasady równouprawnienia, a nie na korzyść jednego tylko wyznania, jak jest dotychczas. Sprawa kwalifikacji pracowników zakładów opiekuńczych, powtórnie powierzona specjalnej Komisji, wywołała potrzebę urządzenia kursu dla pracowników tych zakładów; plan zorganizowania takiego kursu w obrębie ewangelickiego kościoła unijnego spotkał się z życzliwem poparciem zebranych. Z żywem zainteresowaniem wysłuchano sprawozdania o obecnym stanie ruchu ewangelickiego wśród Ukraińców i o trudnościach, z jakiemi ten ruch ma do czynienia.

Ew. Pol.

***

Wszechświatowy Związek Krzewienia Przyjaźni między narodami. Oddział w Polsce.

Dnia 13 listopada r. b. odbyło się w Warszawie pod przewodnictwem superintendenta generalnego ks. Dra P. Blaua posiedzenie Oddziału polskiego „Wszechświatowego Związku krzewienia przyjaźni między narodami", w którem

wzięli udział przedstawiciele kościołów ewangelickich i reprezentant kościoła prawosławnego ks. archimandryta Sawa. W związku z rezolucją międzynarodowej konferencji w Cambridge w sprawie rozbrojenia i pokoju uchwalono, tak jak dotychczas, poświęcić 4 niedzielę adwentową sprawie pokoju, nadto postanowiono obchodzić z okazji rozpoczęcia prac konferencji rozbrojeniowej w lutym 1932 r. „dzień modłów" za pomyślny wynik prac tejże konferencji. W obszernej dyskusji wyjaśniano zagadnienie bezpieczeństwa i rozbrojenia i znaczenie tego zagadnienia dla Polski. Ew. Pol.

***

Nowy projekt prawa małżeńskiego.

Polska rządzi się obecnie 5 systemami ustawodawstwa w dziedzinie prawa małżeńskiego: b. austrjackim, b. niemieckim, b. węgierskim, b. Królestwa Polskiego i b. rosyjskim Ziem Wschodnich. Polska Komisja Kodyfikacyjna opracowała nowe jednolite prawo małżeńskie, które według referatu prof. Lutostańskiego opiera się na następujących zasadach: 1) prawo małżeńskie jest jednolite dla całego państwa, nie dopuszczając „jakiejkolwiek organizacji pośredniej między państwem a obywatelem". Jasne jest, że opracowany projekt nie liczy się z katolickiem prawem kanonicznem jako prawem państwowem; 2) prawo małżeńskie jest równe dla wszystkich obywateli bez względu na różnice wyznaniowe, narodowościowe, społeczne lub gospodarcze; 3) projekt uznaje obie formy zawarcia małżeństwa — cywilną i religijną — za równouprawnione, jednak zawarcie małżeństwa uzależnia faktycznie od wykonania przepisów formalnych przed urzędnikiem stanu cywilnego, jak jest na G. Śląsku i w b. dzielnicy pruskiej; 4) sprawy wynikłe na tle państwowego (nie kościelnego) prawa małżeńskiego podlegają sądom państwowym powszechnym a nie wyznaniowym; 5) Co się tyczy zasady trwałości małżeństwa, projekt uznaje następujące wyjątki: unieważnienie, separację i rozwód. Znamienne jest, że projekt przewiduje możliwość rozłączenia małżeństwa po ukończeniu 25 lat życia obojga małżonków, i po 3-letniem trwaniu małżeństwa bezdzietnego. Po 3-letniem trwaniu rozłączenia sąd orzeka zamianę rozłączenia na rozwód. Ta zasada spotkała się z poważnym sprzeciwem kół chrześcijańskich, a cały projekt wywołał gwałtowną burzę w sferach katolickich, które domagają się od państwa stosowania przepisów prawa kanonicznego. Ew. Pol.

OFIARY.

Na wydawnictwo „Jednoty".

Oprócz prenumeraty wpłacili na wydawnictwo:

1. W-ny p. Czesław Walter — Żyrardów . . . Zł. 2.00
2. „ ks. Ludwik Zaunar — Łódź . . . . . „ 1.60
3. „ p. Karol Sander — Warszawa . . . . „ 4.00

Serdeczne dzięki!

PORZĄDEK NABOŻEŃSTW

w Warszawskim Kościele Ewangelicko-Reformowanym na miesiąc grudzień 1931 r.
Nabożeństwa rozpoczynają się o godzinie 11·15 przed poł., o ile nie jest podana inna godzina.

1. Niedziela, dn. 6.XII. (II N. Adwentu) . . . . . — Ks. J. Jelen.
2. Niedziela, dn. 13.XII. (III N. Adwentu) z Komunją Ś-tą i bezpośredniem do niej przygotowaniem . . . . . — Ks. płk. K. Szefer.
3. Niedziela, dn. 20.XII. (IV N. Adwentu) . . . . . — Ks. St. Skierski.
4. Czwartek, dn. 24.XII. Nabożeństwo wigilijne o g. **3 pp.** . — Ks. J. Jelen.
5. Piątek, dn. 25.XII. (I Święto Narodz. Pańskiego) . . . . . — Ks. J. Jelen.
6. Sobota, dn. 26.XII. (II Święto Narodz. Pańskiego) . . . . . — Ks. St. Skierski.
7. Niedziela, dn. 27.XII. (N. po Narodz. Pańsk.) . . . . . — Ks. J. Jelen.
8. Czwartek, dn. 31.XII. (Nabożeństwo Sylwestrowe **o godz. 6 pp.**). . . . . — Ks. St. Skierski.

CENY OGŁOSZEŃ: IV str. okładki — zł 150; II str. — 100; III str. — zł 75; ½ str. — zł 75, 50, 35; ¼ str. — zł 4 30, 20, i ⅛ str. bez względu na stronę — zł 20.

STRONY ZWYKŁE: cała strona — zł 100; ½ str. — 50; ¼ str. — 30; ⅛ — zł 20. — Przy ogłoszeniach kombinacyjnych i z kliszami do cen powyższych dolicza się 30%.

Główna Drukarnia Wojskowa Warszawa, Przejazd 10.